słałem do Rzymu Ojcu świętemu przez Talentego (sekretarza osobistego króla. Przyp. Red.) pocztą. Namioty, wozy wszystkie dostały mi się i tysiące innych rzeczy bardzo pięknych i bardzo kosztownych, ale to bardzo kosztownych, lubo się jeszcze siła rzeczy nie widziało.

...Nie rzekniesz mnie tak, moja duszko, jako więc tatarskie żony mawiać zwykły mężom bez zdobyczy wracającym, żeś »ty nie junak, kiedyś bez zdobyczy powrócił«, bo ten, co zdobywa, w przodzie być musi.

...Dziś byłem w mieście, które by już nie było mogło trzymać się dłużej nad pięć dni. Oko ludzkie nie widziało nigdy takich rzeczy, co to tam miny porobiły. Z szańców podmurowanych, okrutnie wielkich i wysokich, porobiły skały straszliwe i tak je zrujnowały, że więcej trzymać się nie mogły. Pałac cesarski wniwecz od kul zepsowany.

Wojska wszystkie, które dobrze bardzo swoją czyniły powinność, przyznały Panu Bogu a nam tę wygraną potrzebę (bitwę. P. R.) Kiedy już nieprzyjaciel począł uchodzić i dał się przełamać, przybiegły tedy do mnie książęta, ściskając mię za szyję a całując w gębę, jenerałowie zaś w ręce i w nogi; cóż dopiero żołnierze, oficerowie i regimenty wszystkie kawalerii i piechoty wołały: »Ach, unser brave König!« Słuchały mię tak, że nigdy tak nasi. Cóż dopiero i to dziś rano książę lotaryński, saski; cóż komendant tutejszy Starhemberg! Wszystko to całowało, swym salwatorem (zbawcą. P. R.) zwało. Byłem potem we dwóch kościołach. Sam lud wszystek pospolity całował mi ręce i nogi, suknie, drudzy się tylko dotykali, wołając: »Ach, niech tę rękę tak waleczną całujemy!« Padre d'Aviano, który mię się nacałować nie mógł, powiada, że widział gołębicę białą, nad wojskami się naszymi przelatującą.

Takie nad nami błogosławieństwo Boże, za co niech mu będą na wieki cześć, sława i chwała!...«

SZPAK

Na próg płóciennej chaty,
Mały, skrzydlaty zawitał gość...
— Szpak!... Patrzcie: szpak...
Posypały się zewsząd słowa.
Gość się nie boi — mała jego głowa
Strzela czarnymi dokoła oczkami, dziwuje się... Tak?...
Skąd się nas tylu wzięło, skąd on między nami?
...Kraj, są lipy w ogrodzie,
A wśród gałęzi zwartego kłębiska
Jakaś pieśń dzwoni, jarzy się i błyska,
Jak strzały słońca, tonącego w wodzie...
To szpaki, rozszalałe w wiosennym swym śpiewie,
Z hymnem wiośnie pochwalnym, ukryły się w drzewie
I gwiżdżą.
Powiedz mi, mój szpaku: zali się ostały,
Lub legły pod siekierą stare lipy moje?
Powiedz, czy się ostał wśród lip domek mały,
Schron twojego szczęścia i dum moich roje
Dziecięcych — zali się ostały?...

— — — — — — — — — — — — — — — —

Wiosna idzie. Ze szpakiem ja do dom powrócę,
Nowe lipy zasadzę, gdy tamte spłonęły,
A w marszu, po drodze hymn mej wiary nucę:
Że Ona i jej lipy jeszcze nie zginęły!

Stefan Jankowicz



Z KAMPANII WRZESNIOWEJ 1939

TE PIERWSZE WALKI

(Wg opowiadania por. Jerzego Lewandowicza)

Dedykuję żołnierzom poległym.
Dedykuję tym, którzy walczyli, których głosu nie słychać zza drutów obozów jeńców.
Dedykuję tym, którzy będą walczyć, a których zalewa potwarz wrogów i dusi ckliwe milczenie przyjaciół.

To było w Domu Polskim w Bukareszcie, kiedy napłynęła pierwsza fala.

Młody mężczyzna poprosił o koszulę. Chciał odejść, ale się zachwiał. Podtrzymano go i usadzono na ławie. Okazało się że, jest oficerem, który ma przestrzeloną pierś, rękę i kontuzję głowy. Nazywa się Lewandowicz.

Porucznik Lewandowicz znalazł gościnę i całkowitą opiekę; zastałem go na rekonwalescencji. Oto jego opowieść:

...W nocy z 24 na 25 sierpnia o pół do piątej obudził mię żołnierz z rozkazem mobilizacyjnym. Mieliśmy stworzyć osłonę mobilizacji.

Doba następna przeszła w wytężonej pracy. Nie czułem godzin, nie pamiętam posiłków, nie byłem w domu.

Po dwudziestu czterech godzinach ruszyliśmy autobusami P.K.P. Ach co to? Jak zjawisko z innego świata, z przeminionego świata, mignęła mi postać żony na chodniku. Kiwnąłem ku niej ręką.

...Przyjechaliśmy do Kęt pod Białą. Nigdy tu wojsko nie stało. Wyległa masa kobiet i dzieci z koszykami owoców. Przez cały czas z tych darów mogliśmy dawać do obiadu na żołnierza po ćwierć litra kompotu. Gospodarz, u którego miałem kwaterę, czekał mnie wraz z całą rodziną i z obiadem do dwunastej w nocy. Mając dużo zajęcia, nie chcąc go krępować, na drugi dzień poszedłem do restauracji. Przywołany do rachunku kelner odpowiedział: „Wojsko u nas nie płaci".

Zapraszają nas na posiedzenie miejscowego komitetu współdziałania z wojskiem. Sypią się dary nad możność, nad miarę. Właścicielka owocarni w rynku przynosi wszystkie swoje oszczędności — dzie-

sięć tysięcy złotych. My, wojsko, w zamian postanawiamy nieco uszczknąć swych porcji i dla rodzin miejscowych rezerwistów deklarujemy 45 obiadów dziennie.

Dzieciaki miejscowe depczą nam po piętach. Od tych małych chłopaczków z wypiętymi brzuszkami począwszy, do dziewczynek z tęgo zaplecionymi warkoczykami.

— Cobyś robiła, gdyby Niemiec przyszedł?

— Jakby prosił wody, to bym nie dała, a jakby pytał drogi tobym nie powiedziała.

Chłopcy są rezolutniejsi:

— Jabym mu zamek wyjął z karabina, bagnet bym skradł...

Pamiętacie Ojczyznę zamgloną, w dali, jakeście ją opuścili tak dawno... To było tego lata... Szliśmy w Polskę, jak w ciepło promienne. W jednej wsi chłop przyniósł dla wojska barana. Naznaczył cenę — złoty... Aby się nazywało, że nie darmo. Pamiętacie szlaki pylne ucieczki, już w czasie klęski? Kiedy po chałupach przydrożnych bez zmęczenia, bez ustanku, stali całą rodziną gospodarze, ciągnęli żurawie, dźwigali wodę, poili tłumy maszerujących w rozsypce wojsk.

...29 sierpnia płk Warta otrzymał rozkaz przygotowania swego odcinka w rejonie Górki Węgierskiej, za Żywcem. Wówczas dopiero powiał ostry wiatr wojny. Zażądaliśmy od wójta ludzi. W ciągu godziny stanęło trzystu. Wielu było rozczarowanych, że ich się posyła po łopaty. Sądzili, że będą walczyć wraz z wojskiem. Chcieli się skrzyknąć na tysiące.

PIERWSZE CZOŁGI

W dzień wybuchu wojny od świtania byłem na nogach. Nikt nas nie uprzedzał, że to dziś, ale należało oczekiwać.

Pozycja mojej kompanii tkwiła na stoku wzgórza, przed właściwymi okopami, które mieli zająć inni. Wszędzie przezierała skała, więc okopy mieliśmy płyciutkie. Przed nami biegł teren lekko w dół, potem się wznosił ku laskowi. Dzień był ładny, cichy, bezwietrzny, ale jeszcze w dole i aż ku laskowi leżała lekka poranna mgła.

O godz. 5 m. 30 z lasku padły pierwsze strzały niemieckie i nasze placówki cofnęły się. Zanim zorientowaliśmy się, co to za huk powstaje w lasku, ustokrotniony przez skalną dolinę, już z tego lasku wysunął się czołg. Szedł szary, sam, jakby węszył, jakby się oglądał. Wspomniałem łowy na zasiadanego na dzika, kiedy, fukając, ukazuje się z drugiego brzegu polany stary odyniec.

Za tym pierwszym przyszło dalszych siedem.

Moi ludzie — rezerwiści w wieku pod czterdziestkę, lud spokojny, zasiedziały w gospodarkach a rzemiosłach, przeważnie krakowiacy i górale, przywarł do płytkich skalistych rowków przed tymi pancernymi bestiami, sunącymi w szczęku i jazgocie pancerzy. Ale wytrzymali i nie wystrzelił żaden.

Dopiero kiedy były na trzysta metrów, poczęliśmy im dogadzać z naszych dwóch działek i karabinów specjalnych do niszczenia broni pancernej. Czołgi poczęły się cofać, ale dwa zostały. Niby tok przeleciał przez kompanię. Jedne uciekają, a te dwa — może chwilowy defekt, może się namyślą i ruszą? Bo czyżbyśmy im co zrobili?...

Kierujemy cały ogień w wieżyczki tych dwóch. Co tu gadać — wykończyliśmy je bez reszty. Stoją na łące nieruchomo, podczas gdy inne już skryły się w lasku.

Wycofane i niewidoczne czołgi kierują na nas z lasku silny ogień. O godzinie jedenastej przychodzi im w pomoc niemiecka artyleria. Wszystkich smaków wojny widać danym będzie od razu skosztować moim chłopcom w tym dniu. Najprzód słyszymy detonację pocisku, padającego koło naszych pozycji, a potem dopiero dochodzi huk wystrzału działa. Przez to wygląda, że jest dwa razy więcej strzałów, niż w istocie. Żołnierz tuli się do ziemi, ale po odparciu czołgów już wchodzi w smak tego wojennego sportu. Wypatrzyli w kępie drzew odległej o 1900 metrów obserwatora i zdjęli go serią karabinu maszynowego. Po chwili poczyna działać drugi obserwator. Od godz. 11 m. 40 artyleria niemiecka jest wstrzelana. Mimo, że leżymy jak kuropatwy w ziemi, mam dwóch zabitych i jednego rannego. Wycofuję ludzi za grzbiet, gdzie jesteśmy bezpieczni. Artyleria znęca się nad wstrzelanymi pozycjami, które są teraz jak grunt księżycowy. Ładnie byśmy wyglądali!...

Wreszcie o godz. 14 znowu ukazują się czołgi. Wiemy już, że się umieją cofać i chętnie pędzimy wprzód — na dawne pozycje „poprawione“ przez artylerię, bo w tych lejach pysznie się można chować.

Dwa potwory wpadły w doły przeciwczołgowe. Ponieważ doły te są kopane w szachownicę, więc idące za nimi czołgi w liczbie dziesięciu nie zbaczają, tylko przechodzą po grzbietach tamtych. Idzie na nas silny ogień. Pada trzech rannych. Ale unieruchomiamy dwa nowe czołgi. Reszta się cofa (może będą flankować?), na przedpolu stoją już cztery unieruchomione siwe mamuty.

Z lasku teraz szybko wyjeżdża czołg-warsztat reparacyjny. Przede wszystkim, nim opatrzyć się zdołaliśmy, stanęła przed czołgiem zdemontowanym i czołgiem-warsztatem, który doń dojechał, ściana stalowa.

— Pewno tam biorą tego wraka na hall i wywiozą nam sprzed nosa, panie poruczniku — mówią z emocją żołnierze.

— Jak tu strzelać? Żadna kula tej ściany nie przebije.

Kulomiotacz-góral bierze się na sposób. Ponieważ parawan żelazny stoi na skale, strzela pod niego. Widać kawałki skały się łupią i uderzają Niemców, bo ściana hokus-pokus niknie, warsztat odjeżdża, pozostawiając niezabrany czołg.

— Sposób na sposób! — śmieją się żołnierze. Ich humor wzrasta.

Z lasu poczyna się wysuwać szara linia tyraliery. Za nią druga. Potem trzecia.

Żołnierze zaciskają ręce na karabinach. Wreszcie widzą „żywe mięso“, coś, co dobrze rozumieją. Pachnie im bezpośredniość bójki. Przecież dotąd te karabiny były bezużyteczne.

Pilnuję, by nie strzelali. Serce w piersi łomoce. Skądś, nie wiem, z jakiegoś dna dziecinnej pamięci, wypływa mi zdanie, które powtarzam nieświadomie w kółko: „Jeszcze chwilka, jeszcze chwilka, aż przymarźnie ogon wilka!...“

Są już od nas o osiemset metrów. Chłopcy nie wytrzymali i, Jezu Maryja — jak nie huknął!

Padły linie tyraliery niemieckiej i leżą ani drgną. Widzę przez szkła paru oficerów, biegających z rewolwerami. Potem artyleria niemiecka poczyna walić i tak nas poucza i monituje przez pół godziny. Widać zdecydowali, żeśmy skruszeli, bo podrywają znów swoją piechotę, która idzie na nas, wspierana przez artylerię i karabiny maszynowe. Strzelamy, aż lufy parzą, ale na próżno: jednak te trzy linie skokami posuwają się dalej.

Każę przez gońców niewidocznie nałożyć bagnet na broń. Są już tak blisko, że artyleria ich milknie, a kaemy nie mogą przez nich już strzelać. Kiedy dzieli ich od nas trzysta metrów, wypadamy z piekielnym wrzaskiem.

Pierwsza linia Niemców poczyna uciekać. Wówczas padamy na ziemię i szybko, aby jak najwięcej skorzystać, poczynamy w nich strzelać. Padają gęste trupy. Wstrzymuję nasz atak. Chłopcy tak rozpalili się, że odległość między pierwszymi i ostatnimi wynosiła jakie sto metrów.

A więc Niemiec nie lubi uderzenia na bagnety! A więc czołgi są do ugryzienia! A więc na artylerię jest sposób, byle się nie stra chać tyla tego huku.

Zluzował nas KOP (Korpus Ochrony Pogranicza). Zasunięci na tył, za bezpieczną górkę, gdzie już czekała kuchnia z pierwszoklaśnym obiadem, żołnierze gardłują, śmieją się. „Jak tak dalej pójdzie jak dziś, to za dwa tygodnie będziemy w Berlinie“.

PIERWSZA GORYCZ

Otrzymujemy rozkaz załadowania się w autobusy P. K. P. Okazuje się, że jedziemy gdzieś w stronę Śląska. Ogromna fala uchodźców wali w kierunku odwrotnym. Żołnierze, którzy zasiedli w wygodnych fotelach autobusów, żołnierze, którzy przetrzymali artylerię, rozbili cztery czołgi, poszli z powodzeniem na bagnety, zostali w czas wycofani i w czas otrzymali dobry obiad — patrzą z początku na to zjawisko z pewną aprobatą — że to ewakuuje się front z cywilów. Coraz mniej jednak widzą w tym porządku, coraz więcej paniki. Milkną przepierania się i dowcipy żołnierskie. W tłumie uciekających coraz częściej widać mundury wojskowe. Cóż to znaczy, u licha?...

Następnego dnia płk Warta, siedząc na pniu w lesie, wyjaśnia nam, że oddziały 6 dywizji są rozbite przez czołgi. Że na nas spoczywa zadanie osłonięcia dywizji, nim się przegrupuje...

...Pchamy się pod prąd, ku Sole. Na szosie Pszczyna-Oświęcim widzimy porzucony obficie sprzęt wojenny. Samotne, często zwalone na bok drogi jaszcze artyleryjskie, zdają się wyciągać w tym drugim dniu wojny swoje dyszle do nieba — nieme świadectwo nieszczęścia. Musimy pchać się polami, bo drogami nie sposób przebić się przez gąszcz uciekających.

Przeszliśmy Sołę, za sześć kilometrów będzie linia Wisły, którą mamy obsadzić i trzymać, nim się opór nie sformuje na Sole. Teraz tu już nie ma cywilów, za to od Wisły w ślepej panice ucieka szósta dywizja. Patrzę na płk. Wartę — ten człowiek postarzał od dzisiejszego rana! Spod hełmu patrzą głęboko wpadnięte oczy. Wyciąga rewolwer z pochwy, głosem ochrypłym rzuca komendę: „Bagnet na broń!"

Błysnęły ostrza bagnetów. Żołnierz je zakłada nieporadniej, niż wczoraj, w ogniu kaemów niemieckich. Bagnet przeciw własnym kolegom?

Nie poszło to. Jakże uderzyć w żywą pierś rodaka? Oficerowie nasi schrypli, próbując powstrzymać uciekających.

Przelecieli przez nas, bezradnych. Już się cicho robi i pusto. Ani cywilów ani wojska, tylko porzucone i połamane wozy. Wisła przed nami płytka i kamienista. Pusto za nią — rzekłbyś pustynia. O półtora kilomerta z tamtej strony wieś. Nie widzę przez szkła żywego ducha. Dalej za wsią las. Ze wsi Góra, leżącej z tej strony o półtora kilometra przed Wisłą, dochodzą odgłosy rozgospodarowującego się naszego batalionu. Tu, za wsią, kiedy tak patrzę w umarłe Zawiśle, koniki polne poczynają grać w najlepsze. Myślałem, że od razu trafimy na nieprzyjaciela. Ta martwa cisza, przerywana ćwierkaniem koników, zamarła wieś, ciągnące górą obłoki — i ten popłoch naszej armii, który przed chwilą widzieliśmy, mieści w sobie straszliwą grozę. Gdzie jest ten milkliwy wróg i jak straszliwa musi być jego postać?

Chowam szkła i wracam do wsi Góry. Pułkownik Warta już zdążył obsadzić Wisłę — na lewo od drogi jedną kompanią, na pra wo od drogi drugą. Otrzymuję rozkaz przejścia za Wisłę dla rozpoz nania i ubezpieczenia.

W OPAŁACH

Sądzę, że to samo co ja przed chwilą czułem — grozę ciszy, nabrzmiałej niebezpieczeństwem, od którego uciekła cała dywizja — teraz czuje każdy żołnierz mojej kompanii.

Przeszliśmy Wisłę, obserwowani przez kolegów z tamtych dwóch kompanii, którzy nad brzegiem zalegli. Posuwamy się pochodem ubezpieczonym ku wsi. Właściwie ku dwom długim wsiom: jedna się wyciągnęła długą ulicą wsiową w prawo, druga w lewo od szosy.

Weszły już czujki w wieś pod strachem Bożym. Cicho jest i słonecznie. Jest godz. 17.

Przeszły czujki wieś, już widnieją na skłonie po tamtej jej stronie, który się podnosi ku lasowi. Chcąc nie chcąc muszę się za nimi pchać, choć nie wiem, czy zasadzka we wsi naumyślnie nie przepuściła czujek. Nie rozumiałem jeszcze, w tym drugim dniu wojny, że niemiecka

machina wojenna nie bawi się takimi abisyńskimi cymesami, jak zasadzka na jakąś kompanię.

Jesteśmy we wsi, przechodzimy obejścia pierwszego rzędu domów, przechodzimy ulicę, przechodzimy obejścia drugiego rzędu domów, już jesteśmy na zewnętrznej stronie wsi, skąd widok na ten las. Patrole nasze nieco się odsadziły, widzimy je jak czernieją na żółtym ściernisku, podążając charakterystycznym myszkującym krokiem, półzgięci.

Nagle z lasu rozlegają się strzały, patrole nasze zapadają się w jakieś miedze i mają się ku nam. Pośpiesznie umocowujemy się jako tako. Strzelanina z lasu narasta. Po upływie jakich dwudziestu minut — przez sekundę ma się złudzenie, że to oddzieliła się ściana krzaków, porastających brzeg lasu — szerokim frontem wyjeżdża na nas ze dwieście chyba czołgów nieprzyjacielskich. Ponura tajemnica lasu wyjaśnia się, żołnierz przywiera do karabina. Nic mu ten karabin, nieborzęciu, nie pomoże, ale zawsze wie, co ma przed sobą.

Czołgi szeroką ławą suną na wieś. Podczas gdy co drugi jedzie, pozostałe strzelają. Następnie one ruszają, a ubezpieczają je tamte. W ten sposób znajdujemy się stale pod obstrzałem stu potworów.

Niemcy też widocznie nie lubią tajemnic. Nie wiedzą, co wieś kryje i strzelają ponad naszymi głowami pociskami zapalającymi. W ciągu dziesięciu minut wieś za nami staje w płomieniach. Stodoły pełne zbiorów palą się jak stos jałowcu.

O trzysta metrów przed nami czołgi się rozdzielają. Będą flankować wieś, a my pozostaniemy odcięci od naszych, w płonącym worku!

Cofamy się w kolejności taktycznej do drugiej linii domów, z tamtej strony ulicy, która częściowo się nie pali. Tam się grupujemy. Mamy dziewięciu rannych. Nie zniszczyliśmy ani jednego czołgu.

Co robić, co robić?...

Cofamy się całkiem za wieś — widzimy, że szczypce czołgów już się zaokrąglają ku zwarciu. Wystrzelają nas na tej płaszczyźnie, mowy nie ma, abyśmy wrócili do swoich. Rzucamy się znowu do wsi, która rozpala się coraz bardziej. Żołnierze trzymają się mnie jak małe kuropatwięta starej kuropatwy. Wypadamy przez wieś na tę drugą, odniemiecką stronę, bo w tym piekle ognistym wytrzymać trudno. Widzimy tyralierę niemiecką już o 400 metrów ode wsi. Łatwo im było przejść przestrzeń od lasu, skoro tu tymczasem hasaliśmy z jednej strony wsi na drugą jak myszy w łapce.

Widać ich doskonale, rysy już wkrótce rozróżniać będzie można, słychać komendy.

Padamy w linii i grzejemy jak się da. Można powiedzieć, że jemy Niemców pełną łyżką. Trupy ich aż „pryskają“ według obrazowego opowiadania żołnierzy po tej walce. Ale nie rzucają się do ucieczki. To jest przecie ten sam żołnierz niemiecki, który już widział ucieczkę VI dywizji. Kiedy są od nas o 250 metrów, uderzamy na bagnety. Przypadli, otwierając silny ogień. Przypadliśmy i my. Kiedy znowu

podrywam żołnierzy do ataku wręcz, nerwy niemieckie nie wytrzymują. Pierzchli.

Oficerowie, podoficerowie wstrzymują żołnierzy, klnąc na czym świat stoi. Bo na cóż się zda dopaść i pogarbować Niemców, mając z tyłu czołgi.

Znowu zebraliśmy się, czołgając się po polu. Mamy chwilę spokoju. Tyraliera pierzchła, a czołgi gdzieś tam za wsią. Co robić?

Wzrok mój padł na gęsty dym, walący ukośnie ku Wiśle w stronę jej dolnego biegu. Czarny dym, żywiony słomą, gęstymi kłębami szedł przy samej ziemi, niesiony leniwym wiatrem.

— Chłopcy! — wołam — Tędy wyjdziemy, ale jeśli żaden z was nie nawali, nie przestraszy się czołgów!

Cofamy się najprzód w wieś, aby Niemcy nie zmiarkowali, ładujemy rannych na biedki od kaemów i wypływamy z chmurą dymu ze wsi.

Dużo się przeklina słomiany ogień, ale wówczas uratował nam życie i wolność. Dym z tego ognia towarzyszył nam ze cztery kilometry, aż doszliśmy wraz z nim do Wisły, w dół od rozmieszczenia naszej prawoskrzydłowej kompanii. Miała tam być rzekomo nasza kawaleria, ale nie znaleźliśmy jej ani śladu.

Co za rozkosz wyjść z płytkiej wody wiślanej, która nam nie sięgała po pas, iść „polską" stroną, bezpieczną, schnąć w miłym wiaterku, mieć przed sobą Górę, gdzie nasze kwatery, gdzie nasz obiad! Z tych dziewięciu rannych żaden nie był ranny śmiertelnie. Jadąc na biedkach, chłopcy prześcigali się w dowcipach, jak to ich hrabiny opychać będą specjałami i jak to oni, pierwsi ranni w tej wojnie, będą zadawali szyku.

We wsi Góra został jeden mieszkaniec, staruszek, Niemiec. Miał krowę i wieprza. Krowę poćwiartowałem i rozesłałem mięso do wszystkich trzech kompanii, wieprzka zostawiłem dla swoich.

Warząc smaczne jadło, skłopotałem się, że jeśli my byliśmy tacy mądrzy, aby obejść Wisłę niepostrzeżenie i dla swoich, bo żadnej tam kawalerii jako przedłużenia nie ma to i Niemcy to samo potrafią, mogą bowiem spostrzec się co do naszej drogi, mogli nas widzieć przez lornety, bo gdyśmy dochodzili do Wisły, dym już był rzadki i zgubiony.

Zawołałem na ochotnika — kto pójdzie w patrolu jeszcze raz i natychmiast za Wisłę? A że już od podsmażanego wieprzka zapach w nosie kręcił, odpowiedziało mi milczenie.

Pociągnąwszy z żalem nosem luby zapach, zadeklarowałem się, że ja pójdę sam. Kto następny?

Jakiś cień wystąpił naprzód.

— Jak się nazywacie?

— Porucznik Rusin.

Zaraz za nami dwoma wystąpiła cała kompania. Stypny naród, te Polaki, jak Boga kocham!

Krótki, suchy werbel serii --- to mój głos; drganie zdwojonych karabinów maszynowych i półobroty wieżyczki: w lewo, w prawo --- to mój ruch; smugi pocisków, miotanych w przestrzeń --- to moje działanie. Działanie żądła...

Lecz --- co to?! Jakiś cień, czarniejszy niż noc, zamajaczył powyżej mnie, trochę w lewo... Rozpłynął się i zamajaczył znowu na wprost, za ogonem Genofewy... Jest, czy nie ma go tam?...

— Jest! Zbliża się!! Rośnie!!!

Zupełnie mechanicznie (czy może: zupełnie instynktownie?) podnoszę sprzężone łuty kaemów na jego wysokość i w tej samej chwili widzę cztery ogniste języczki wyskakujące jakby z pyszczków czterech jaszczurek, ustawionych rzędem przede mną!

— Poprawka? Niepotrzebna!

Naciskam spust, prowadzę za cieniem, za ogniem: sekunda --- dwie --- trzy... Jaszczurki zamknęły pyszczki, cień rozpłynął się, znikł.

— Co tam? --- pyta Góral. --- Myśliwiec?

— Chyba --- mówię ochrypłym głosem.

— No i co?

— Odskoczył po pierwszej serii.

— Jak zwykle --- konkluduje Zygmunt, nie wiem: z udanym, czy szczerym znudzeniem.

I znów długie milczenie. Znów spokojny, równy warkot silnika. Tylko ja --- żądło samolotu, jego organ obronny --- jeszcze drżę wzruszeniem. Czy nie tak właśnie, jak drży żądło skorpiona lub osy?...

Ktoś melduje zużycie paliwa, a potem Merkury oznajmia:

— 15,000 stóp.

— Brzeg! --- woła głośno Bujak z przedniej wieżyczki. --- Brzeg! --- aż w słuchawkach dzwoni.

Potem --- fakty idą jedne po drugich z taką szybkością, jakby chciały wynagrodzić sobie długie godziny oczekiwania na to, że się miały stać; na tę chwilę. W której się dzieją.

Kurs bojowy, skręt, poprawka:

— Jeszcze pięć stopni w prawo. Tak jak teraz, dobra.

Warkot silników milknie, pęd gwiżdże przy burtach.

— Ani jednego reflektora --- mówi Bujak.

Artyleria milczy, więc to może strefa myśliwców?

— Zaraz będzie basen numer 3 --- odzywa się Zygmunt, leżąc na pokładzie z nosem rozpłaszczonym na przezierniku.

Patrzę w dół: lecimy, zdaje się, równolegle do brzegu. Gdzie on widzi jakiś basen?!

Aha: widać coś jakby port. Teraz --- niewyraźne, wrzecionowate kształty, jakby ziarnka zboża.

Ależ tak, to są barki i statki, które Niemcy przygotowują na inwazję.

— Uwaga --- stęka Zygmunt.

Zatrzymuję oddech.

— Bomby!

Raz, dwa, trzy, cztery, pięć... Dlaczego nic nie słychać?!

Sześć... siedem...

— Są!

Duch Zniszczenia przebiegł po ziemi i wodzie! Gdzie stąpił --- buchnęło blaskiem, ogniem, dymem! A potem noc jęknęła odgłosem wybuchów i — rozszalała się artyleria.

Podmuchy jej pocisków dosięgły skrzydeł maszyny: wzdrygnęła się raz po raz, poderwała w górę, przepadła, gibnęła się na skrzydło i sunie dalej milcząco nad coraz jaśniejszymi pożarami, które odbija czarna, połśniewająca woda u stóp kratownic doków i między stłoczonymi barkami.

Wtem ktoś zaczyna mówić po niemiecku. Mówić? --- Nie: raczej wymyślać. Potok słów popłynął wartko przez słuchawki, zmieszał się, zmącił, nabrzmiał pasją i runął wodospadem przekleństw.

Byłem tak zaskoczony tą iście piekielną niemiecką litanią, że z początku wydawało mi się, jakby ją nam posyłała okupowana przez Niemców francuska ziemia razem z ogniem działowym. Ale później do przekleństw niemieckich dołączyły się równie soczyste polskie i francuskie, a wreszcie dyszący wściekłością głos oznajmił:

— Żebyście wiedzieli, że te bomby rzucili Polacy i.......

Odwracam głowę --- spoglądam ku przodowi gondoli. To Zygmunt oznajmia nas niemieckiej załodze portu, a Koza, włączywszy radiostację na nadawanie, patrzy w niego jak w tęczę. Chce mi się śmiać, krzyczeć, skakać i --- wymyślać także. Ale w tej chwili słyszę głos Bujaka:

— Panie kapitanie, reflektory!

Odwracam się gwałtownie, wyrżnąłem o coś brodą, chwytam tylce kaemów. Z dołu skośnie przebiły mrok dwa skrzyżowane groty białego światła. Podsadzam się wygodniej, wykręcam wieżyczkę bardziej w lewo...

— Jest jeden: blask lśni na lufach, oczy bolą...

Grzeję --- nic.

— Za mała poprawka --- przelatuje mi przez głowę.

Zakładam więcej, walę nabrawszy pełne płuca tchu i trzymam, trzymam.

— Zgasł! --- krzyczy Zygmunt.

Istotnie, zgasł. Ale --- mogłem go nie trafić. Tego się, niestety, nigdy na pewno nie wie...

Tymczasem silniki zaczynają mruczeć i pożary przez nas wzniecone oddalają się zwolna. Patrzę na nie ciągle ostygając z emocji, w miarę jak zbliżamy się do angielskiego brzegu.

Po 25 minutach mijamy Dover. Nad Boulogne ciągle widać łunę, a »Genowefa« rży z uciechy obu silnikami --- piekielnica!

Spoglądam na zegarek: dochodzi północ. Między chmurami, pod którymi nas niesie w podmuchach wiatru, przebłyskują gwiazdy. Zdaje się, że deszcz pada.

W gondoli --- zimno. Włazi za kołnierz i pełznie po grzbiecie i po ramionach w dół. A jednocześnie marzną stopy i ręce. Żeby prędzej było lotnisko!

Ale droga powrotna dłuży się bardziej, niż droga do celu; w dodatku wiatr mamy północno-zachodni. Góral znów pyta co chwila, czy nie śpimy, ja i Bujak. Chce mi się spać istotnie i pewnie bym zasnął, gdyby nie wewnętrzna wibracja nerwowa po tych pierwszych od tak dawna wzruszeniach nocnego lotu na bojowe zadanie.

Mija znów pół godziny i wreszcie Zygmunt mówi:

— Zaraz będzie lotnisko.

— Nic nie widzę --- powiada Bujak.

I zaraz potem:

— Lotnisko pod nami!

Rzeczywiście czarna otchłań mruga do nas świetlnym sygnałem porozumienia.

»Genowefa« zawraca łukiem o 270 stopni, wypuszcza łapy podwozia, otwiera klapy skrzydłowe i zaczyna tonąć. Na samym dnie ciemności zjawia się struga światła: to reflektor lotniskowy.

Siadamy z nieodzownym gruchotem całego pudła, jakby się dom walił, i kołujemy za mrugającą latarką, którą ktoś prowadzi nas na zwykłe miejsce postoju.

Z mroku wyłania się narożnik drewnianego baraku i znajomy strzępiasty świerczek tuż przy nim. Lewy silnik, prawy silnik, hamulce! Ogon »Genowefy« podskakuje na kretowiskach, zarzuca, staje. Zmęczone motory klekocą wolno, wolno, wreszcie milkną jeden po drugim i słyszę głos Talagi:

— Schodki! Żywo!

Wyłączam się z organizmu Wellingtona: odczepiam kabel słuchawek, odkładam na miejsce pępowinę przewodu tlenowego, zamocowuję kaemy...

Wyłazimy, zziębnięci i weseli; ja na końcu, ze zdrętwiałymi nogami, jakby mi nalano wody sodowej do żył i mięśni. Widzę, jak Talaga liczy nas palcem i czuję, jak mnie dotyka.

— Zdrowi wszyscy, panie kapitanie? --- pyta stłumionym głosem.

— Zdrowi, zdrowi. Wszystko dobrze --- odpowiadam, podzwaniając melodyjnie zębami.

— A jak maszyna?

Góral odpowiada, że maszyna jak złoto i widzę, jak gęby mechaników rozjaśnia uśmiech dumy i zadowolenia: to przecież ich zasługa!

Potem cała załoga otacza mnie i każdy się dopytuje, jak mi się podobało. Mówię coś w miarę do rzeczy i zaraz wszyscy razem zaczynają gadać o tym, co i jak było. Wreszcie zajeżdża autobus, siadamy i jedziemy na »spowiedź« do »inteligentnego«[2]).

Gorące kakao, papieros i --- spać!

Porucznik Herbert

---

1) Życzę szczęścia

2) »Intelligence officer« — oficer wywiadowczy, który przyjmuje szczegółowe ustne sprawozdanie załogi z odbytego lotu.



Czwarty poranek ataków na konwój, a trzecia doba ataków z powietrza, rozpoczęły się dwunastym z rzędu nalotem. O 5,30 zbliżyły się do konwoju »Junkersy« i okrążyły nas wokoło. Artyleria »Garlanda« nie próżnowała, umieszczając bardzo pięknie 9 pocisków obok jednego z nich. Albo »dostało« go troszkę, albo były to manewry dla utrudnienia ognia, bo zaczął robić dziwne skoki w powietrzu w górę i na dół. Zawrócił jednak i wpadł w ciemną chmurę śnieżną. Temperatura O stopni Celsjusza. Przez »noc« kra była chwilami tak gęsta, że okręt zbaczał przed większymi zwałami. Widoczność przez cały czas znakomita, o wiele za dobra. Około zaś godz. 10 chmury śnieżne schowały się za horyzont i, prócz przelotnych obłoków, niebo było błękitne i czyste.

Nasz »diabeł stróż«, ów przeklęty samolot niemiecki, idący jak cień wkoło widnokręgu, niestrudzenie oblatywał nas wokoło. Co parę godzin następowała »zmiana wachty« i przez czas pewien dwa pokraczne potwory (samoloty dalekiego zasięgu »Blünter-Voos« o dziwacznej sylwetce i jakby jednym skrzydle dłuższym) krążyły, często zbliżając się do nas bezczelnie. Parę razy »Garland« przepędzał je ogniem artylerii głównej, raz zaszczekało do natręta działko pl.

— Do jasnej cholery! --- zaklął ktoś obok mnie.

— Co się stało?

— Działo pl. odstrzeliło naszą własną banderę. Zły znak, czy co!

— Nie gadalibyście głupstw. Po prostu wypadek.

Po chwili na pomost przyszedł bosmat - operator filmowy:

— Odstrzelili banderę nade mną. Spadła mi na głowę. Niech pan zobaczy! — i podał poszarpany strzęp biało-czerwonej materii. Ale co najdziwniejsze środek bandery był nietknięty w ten sposób, że tarcza czerwona i orzeł biały były jakby wykrajane z całości.

— Banderę zachowam, jako talizman --- dodał.

Uśmiechnąłem się do siebie. Podczas walki marynarz, lotnik, żołnierz robi się przesądny. Ile razy w życiu przyłapywałem sam siebie w podobnych sytuacjach, że wypowiadając jakieś twierdzenie »odstukiwałem« wypowiedziane słowa o »nieheblowane drzewo« lub omijałem w rozmowie sprawy niebezpieczeństwa, przyszłości itp. Zauważyłem też, że na »Garlandzie« (jak poprzednio i na innych okrętach) marynarze i niektórzy oficerowie niechętnie się fotografują, lub wręcz uciekają sprzed obiektywu.

Tego jednak dnia, pamiętnego dla wielu z nas na całe życie 27 maja 1942 roku, gotów byłem sam uwierzyć we wszystkie przesądy świata.

Ocean Arktyczny był spokojny, gładki jak jezioro Lemańskie. Słońce około południa zaczęło przygrzewać, że na pomoście bynajmniej nie było

zimno. Różowo-białe obłoki wolno przesuwały się po niebie. Dymy konwoju pięły się do góry, leniwie rozpełzając się w kształcie olbrzymiego grzyba.

— Ten dym widać na dziesiątki kilometrów — mruknął ktoś.

— Co to szkodzi, gdy i tak diabeł-stróż przy nas — zauważył inny.

Czas wlókł się, jak sam konwój. Spod powiek ciekły łzy od blasku. Rozmowy były senne. Aż wreszcie o godz. 12,15 nadszedł sygnał o zbliżaniu się nowych fal niemieckich samolotów. W pięć minut potem rozpoczął się taniec od nowa.

Z owych pięknych, niewinnych obłoków i chmurek, wprost od słońca wypadła, nurkując, pierwsza szóstka Junkersów 88, potem druga, trzecia, piąta, siódma... przestałem liczyć. Słupy wody i dymu wyrosły pomiędzy statkami i podnosiły się teraz już prawie bez przerwy w coraz to innych miejscach konwoju. Jakiś statek został trafiony na samym początku nalotu i zapalił się jasnym, bezdymnym płomieniem. Ludzie skakali do wody lub spuszczali się po linach w dół, gdzie oczekiwał już na nich trauler ratowniczy. Ale nie było czasu zatrzymywać oczu na jednym wydarzeniu. »Garland« strzelał ze wszystkich dział, wielokrotnie odzywała się broń maszynowa okrętu, gdy Niemcy przelatywali zbyt blisko. Nurkowali zaś tego dnia jeszcze śmielej i zniżali się do 50-100 metrów.

»Oerlikon« szczekał z prawej burty. Ów prawoburtowy »Oerlikon«, od strony konwoju, odzywał się jak zwykle dotąd najczęściej. Niebieskawo-zielony strumień pocisków smugowych gonił za nieuchwytnymi, zdawało się, sylwetkami śmigłych i zwrotnych potworów powietrznych. Jeden z nich nadleciał wprost nad »Garlanda«, zawrócił na wysokości jakich 100—150 metrów nad nami i wyładował bomby opodal sąsiedniej korwety, że dym i woda zakryły ją. Ale po chwili ukazała się naszym oczom cała i nietknięta.

Statek, idący w tyle najbliższej kolumny konwoju, wyrzucił nagle rakietę i zaryczał przerywanym basem. Torpeda! Jak delfin idący pod wiatr, pluszcząc po wodzie, szła złowroga ryba stalowa w kierunku miasta statków. Wiele z nich zrobiło nagły zwrot.

Od słońca, wolniej i mniej zręcznie niż Junkersy szła powietrzem siódemka podługowatych kształtów. Zaraz »Garland« otworzył na nie ogień z dział, a za nim zrobiły to samo inne okręty wojenne z tej samej strony konwoju.

— Nieprzyzwoitość! — zawołał oficer nawigacyjny, otrzepując się z kawałków szkła ochronnego na pomoście, które prysło od wstrząsu powietrza, wywołanego nagłą salwą dział dziobowych. — Nieprzyzwoitość! Nie było przewidziane »takie podniesienie!«

— Uprzejmie przepraszam! — odkrzyknął mu oficer artylerii z dalocelownika.

— Mają humor — mruknął angielski oficer łącznikowy.

Rozumiał świetnie po polsku. Dwa lata na »Garlandzie« nie poszły na marne. Zresztą trudno było znaleźć lepszego przyjaciela i kolegę.

— Niech pan patrzy — rzekł — druga torpeda. Zdaje się trafiła.

I wskazał ręką statek, idący w środku najbliższej od nas kolumny, przy którego burcie wyrosła wielka góra biało-czarnego dymu. Gdy opadła po paru chwilach, statek przechylił się, odstał od innych i niebawem zaczął tonąć na rufę.

Tymczasem Junkersy nie próżnowały. Detonacje bomb wstrząsały powietrzem raz po raz, zlewając się w przeciągły grzmot z ogniem artylerii kontrtorpedowców i krążownika pomocniczego. Ten »grzał« najmocniej, mając zapewne nieograniczone zapasy amunicji. Toteż łatwo można było zauważyć, że Niemcy niechętnie nadlatywali nad krążownik i woleli zrzucać bomby daleko od niego.

O godz. 13,30 zeszedłem z pomostu na rufę do messy, aby coś przegryźć, a wracając ... stanąłem pomiędzy dalekomierzem i dalocelownikiem. Obok mnie stał marynarz E., podsłuchowiec, podczas alarmu bojowego strzelec przy lewym k. m. na pomoście.

— Niech pan lepiej włoży hełm --- doradzał poczciwie --- odłamki naszych pocisków gwiżdżą nie na żarty. Niech pan patrzy.

Spojrzałem we wskazanym kierunku. Na gładkiej powierzchni morza, niby od ulewnego deszczu, szły gradem drobne wypryski padających odłamków.



— Okręty strzelają ponad »Garlanda«. Nowa fala nadlatuje od naszej strony.

Znaleźliśmy się właśnie, idąc zygzakami i strzelając prawie bez przerwy, na jednej linii z kolumną statków konwoju. Pomiędzy nami i najbliższym statkiem szła korweta.

Trzy wielkie fontanny, idące w kierunku »Garlanda«, wyrosły pomiędzy konwojem i nami. Dwie z nich padły obok korwety, obramowując ją z obu burt. Spazmatycznie zagrała wszystka broń maszynowa »Garlanda«. A potem usłyszałem przejmujący do szpiku kości, przeciągły, trwający zdawało by się wieczność, świst lecących niedaleko bomb. Na ciemnym tle stojącej jeszcze ściany dymu z poprzednich trzech wybuchów, ujrzałem wyraźnie, jak w śnie koszmarnym, cztery kształty gruszkowatych bomb, instynktownie przytuliłem się do ściany dalekomierza i zaraz czymś gorzkim, jakby pyłkiem zasypało mi oczy. W ustach poczułem niemiły, metaliczny smak. Olbrzymia ściana dymu i wody zasłoniła konwój, korwetę, cały świat.

— Koniec --- pomyślałem. I w tej samej chwili bezmyślnie zacząłem szukać wokół siebie czapki-kominiarki, którą zdmuchnęło mi z głowy. Na lewym ramieniu czerwieniła się wielka plama krwi.

— Pan ranny? --- spytał marynarz E.

— Nie chyba. A wy?

— Zdrów. Krew kapie z góry.

Z dalocelownika szły też jęki rannych. Obiegłem dalocelownik. Na pomoście bojowym dowódca, oficerowie i sygnaliści przez sekundę stali nieruchomo. Po wszystkich twarzach spływała krew. Każdy był chociaż zadraśnięty odłamkami, czy drobinami rozbitego szkła.

Okręt, który położył się był trochę na lewą burtę, wyprostował się i szedł dalej tą samą szybkością. Usłyszałem spokojny, równy głos oficera nawigacyjnego, który się pytał przez tubę głosową do maszyn:

— Jak tam maszyny? W porządku? Dobrze!

I zaraz drugi głos z dalomierza oficera artylerii.

— Dalomierzysta i telefonista ciężko ranni. Obsługi dział numer jeden i dwa wybite. Organizujemy nowe obsługi!

Tymczasem jednak działa rufowe przemawiały dalej i gdakał lewy c. k. m.

— Na dziobie się pali! — krzyknął ktoś na dole. Żółto-biała, smrodliwa chmura dymu podniosła się ku niebu. Oficer artylerii zsunął się z wysokości dalomierza. Mówił coś do mnie, czego nie rozumiałem. Na szyi jego wykwitła krwawa plama. Jak się później okazało prosił mnie, abym wyciągnął odłamek.

Na mój bezradny gest, machnął ręką i zbiegł na dół. Tymczasem na samym pomoście odsuwano na bok rannych. Kpt. mar. K., który tak niedawno powrócił do służby po ciężkiej niewoli w Rosji, słania się, zakrywając twarz ręką. Gdy schodzę z pomostu, widzę jak osuwa się bezwładnie na ręce bosmata-sygnalisty. Z dalomierza wynoszą ostrożnie dalomierzystę z obciętymi obiema nogami. Słyszę jego słaby głos:

— Ostrożnie z tym... co jeszcze ze mnie zostało.

Umarł później dzielnie, po marynarsku, jak wielu innych.

— — — — — — — — — — — — — —

Korytarz ze sterówką zatarasowany wywalonymi drzwiamy z bojowej kabiny dowódcy i prawymi, wejściowymi. Na lewej burcie pomostu nawigacyjnego spotykam dowódcę.

— Co to się pali, panie komandorze?

— Nie wiem jeszcze dokładnie. Właśnie tam idę.

Nasze działa rufowe znowu strzelają.

Dym coraz większy. Już wiadomo. To palą się szmaty, podłożone pod pociski, i pali się duża pława. Oficer artylerii, jego młody zastępca, Anglik-szef sygnalistów brytyjskich i paru marynarzy »Garlanda« spychają i zrzucają materiał palny do wody. Słyszę głos oficera artylerii:

— Łuski rzucać do wody, które bliżej ognia!

— Panie poruczniku, starszego marynarza F. zdmuchnęło do wody!

— Odsuńcie nieżywych i rannych na bok.

Tymczasem nowa chmura powstała nad śródokręciem. To z przebitego przewodu jednego z kotłów szła para ponad kominy i maszty »Garlanda«. Uszkodzenie stosunkowo drobne, lecz kłopotliwe i zwracające uwagę. Toteż Niemcy uwzięli się na nasz okręt. Teraz n. k. m. i k. m. oraz lewy »Oerlikon« przemawiają coraz częściej. Czemu prawy milczy? Przeszedłem na prawą burtę.

»Oerlikon« prawie nieuszkodzony, ale mat K. i marynarz N. już nie żyją. Ciała ich dymią jeszcze i smażą się od straszliwego żaru odłamków.

— Zginęli przynajmniej od razu — mówi jeden ze sterników, przykrywając zwłoki kocem.

Przybiegł do mnie marynarz zadyszany i zgrzany.

— Szukam pana już od paru minut — zameldował, — operator filmowy ciężko ranny. Prosi, żeby pan przyszedł na rufę i zabrał od niego aparat.

Biegnę na rufę. Po drodze wysłuchuję opowieści, jak to było.

— Stał pod reflektorem i kręcił. Jak wybuchły bomby, patrzymy: leży obok zwojów lin. Zaraz też zaczął wołać, że jest ranny. Pobiegło do niego nas dwóch, patrzymy bosmat cały we krwi. Aparat trzyma lewą ręką i nie chce oddać. Powiada, że musi go wręczyć panu. Zdejmował do ostatniej chwili. Znieśliśmy go z platformy i położyli na rufie. Jest wielu zabitych i ćma rannych. Doktór nie podoła opatrzyć.

Na śródokręciu tyle krwi, że trzeba uważać, aby się nie pośliznąć. Pod rozkazami zastępcy dowódcy okrętu pracuje »drużyna ratownicza«. Ranni są odsuwani na rufę, zabici okrywani kocami i odciągani na bok. Artylerzyści i ci, co zastępują tych artylerzystów, którzy ubyli, nie mają czasu uważać na nic. Okręt strzela.

Gdy podchodziłem do burty, ujrzałem nagle cztery olbrzymie wytryski wody nie dalej niż jakie 60 m za nami. Poczułem że okręt skoczył, zwiększając szybkość. Zaraz potem wściekle zaszczekały nasze k. m., coś zaszumiało nad głowami, okręt położył się na rufę w nagłym zwrocie i dalsze 4 bomby gruchnęły między »Garlandem« a najbliższym kontrtorpedowcem, starym dobrym druhem, towarzyszącym nam od samej Wielkiej Brytanii. Ranni zasłonili oczy rękami.

Opowiadał mi później dowódca, że Junkersy widocznie postanowiły nas wykończyć na widok wielkich kłębów pary, które wciąż wydostawały się z kotłowni, pomimo że szef-mechanik, jego mechanicy i drenarzyści pracowali na dole, jak diabły w piekle:

»...Garland mógł strzelać naprawdę już tylko z dział rufowych, co dla ochrony konwoju było wystarczające. Poza tym również w tej pozycji, gdy pożary zostały ugaszone, a para z przebitego przewodu zatrzymana, mogliśmy przystąpić do koniecznej reorganizacji na okręcie, mniej narażonym na pośrednie ataki bombowców«.

— — — — — — — — — — — — — —

...klęcząc przy bosmanmacie nie umiałem się zdobyć na inne słowa niż: Kochani, co wam to? — choć widziałem, że bardzo cierpi.

— Aparat czy cały? — jęknął.

Podniosłem z pokładu futerał. Aparat był we krwi, ale nienaruszony. Obiektywy całe.

— Poprzednie sto stóp jest w kasecie. Proszę o trochę whisky. Widziałem, roznoszą.

Podszedłem do podoficera ewidencyjnego, krzątającego się przy rannych, których coraz więcej znoszono na rufę.

— Kiedy będzie można opatrzyć bosmata? — spytałem, odbierając szklankę z wódką.

Potrząsnął głową: — Nie prędko. Podwiązaliśmy tymczasem rękę. Zdaje się łokieć strzaskany i ma jeszcze parę ran. Z innymi gorzej. Niech pan patrzy... Doktór i sanitariusz pracują na dole w messie. Tyle tego!

Napoiłem bosmata whisky i podsunąłem mu korkowy pas ratowniczy pod głowę. Próbował żartować.

Andrzej Czyżowski

Ignacy Paderewski

W drugą rocznicę śmierci
(30/VI 1941)

Gdy od otwartej trumny — jak od świetnego ołtarza —
Odeszli swoi i obcy, artyści, muzycy, malarze, —
Zmienili świece kościelni, — zamietli kościół dozorcy,
Bramę za sobą zamknęli... Jak uroczysty egzorcyzm
Huk zatrzaśniętych drzwi zajęczał w rurach organów —
Ciało zostaje samo — do jutra rano.
Od wieńców kwietny zapach po sali wionie,
Ktoś jeszcze siedzi przy trumnie, twarz ukrył w dłoniach
I trwa tak w ciężkim bezruchu — jakby coś długo wspominał.
Zaskrzypiał zegar na wieży. Wybiła jakaś godzina...
Powoli wstał ze stopni, starcze prostując kolana,
Pochylił się nad Zmarłym, nad twarzą ze srebra odlaną
I żegnał tę siwą głowę, swoją — lecz już nie własną,
Obcą, jakby kto inny w tym jasnym łożu zasnął.

Żegnam was, ręce zmęczone — jak moje serce.
Nie będę wami płakał w Szopena Scherzu...
Żegnam was, oczy i usta i uszy spowite w ciszę —
Nie będę mówił, ni patrzył, nie będę słyszał
I dla tej mojej ziemi — nic już tu zrobić nie zdołam,
Choć wiem i czuję — jak cierpi, — jak moja ziemia woła...

Myślałem sobie: Gdy umrę, powiozą mnie z powrotem...
Tą jedną żyłem chęcią, tą jedną gasłem ochotą,
Żeby — gdzie żyć nie mogłem — po śmierci spoczywać spokojnie —
Spaliła się moja starość w pożarze wojny...
Odwrócił się i zeszedł tam, gdzie na aksamicie
Leżały wszystkie ordery, zebrane przez całe życie.
A były tam gwiazdy i runa i wstęgi i złote korony —
Schylił się nad ostatnim. Na chuście biało-czerwonej
Jaśniał żołnierski krzyż — za śmierć mu go nadali.
Miał prosty, wyraźny napis: Virtuti Militari.

Ujął w swe ręce przejrzyste krzyż, owinięty w proporzec
I tak wyruszył w drogę.

Ciemno już było na dworze,
A on szedł ciągle pod górę — wytrwale i bez zmęczenia.
Po drodze sobie układał, jako to z Panem Stworzenia
On będzie teraz rozmawiał.
Tak ciągle idąc do nieba i myśląc, Mistrz Ignacy
Doszedł do końca ścieżki — do końca ścieżki przeznaczeń.

A na początku Mlecznej Drogi, pod mlecznym drzewem,
Przywitali go żołnierze żołnierskim śpiewem.
Wysoka trąbka zapiała srebrnym sygnałem,
Ozwało się trąbek tysiące na błoniu całym.
Do koni się porwały ułany — na alarm,
Pod nogami biegnących cała ziemia zadrżała.
Brzmią rozkazy. Pośrodku kurzu i grzmotów
Zadudniła buciskami piechota.

Stoją wojska przy drodze — na błoniach —
A na czele sam Skotnicki na koniu.
Czarny łeb, krwią zlepiony, dumnie do góry trzyma,
A w koło generały: Wład, Kustroń i Olszyna,
Na sobie pysznie noszą szkarłatno-krwawe szarfy
Dientorf-Ankowicz, Bołtuć, Podhorski i czarny Alter.
Skurzone piękne mundury, schlastane długie buty —
Ej, poznać po generałach ostatnią, śmiertelną marszrutę.
Kiwają się na koniach w strzaskanych, stalowych hełmach
I prężą zszarpane piersi ołowiu i stali pełne.
Czekają generałowie, by godnie przywitać gościa —
I prości czekają żołnierze, o potrzaskanych kościach,
O rozwalonych brzuchach, o czaszkach rozbitych na drzazgi,
O uszach na zawsze ogłuchłych, o oczach przemytych piaskiem.
Tak stali w głębokich szeregach, do wielkiej parady gotowi,
Kiedy Skotnicki dał znak. Zawrócił na koniu Ankowicz,
Wysoko się uniósł w strzemionach i wrzasnął na całą błoń:
W batalionach baczność! Prezentować broń!
Na prawo patrzeć! Orkiestra — marsza generalskiego! —
Z daleka już wszyscy widzieli sylwetkę Paderewskiego.
A Paderewski szedł wolno, trzymając swój krzyżyk w rękach.
Cichutko zabrzmiały trąbki — to Dąbrowskiego piosenka —
A potem Marsz Generałów. Skotnicki szablą się skłonił
I krótko raport złożył. Jak zwykle był piękny na koniu.
Ujęli Go potem pod ręce, jak księdza w Boże Ciało,
I Mleczną powiedli Drogą, przed długim frontem oddziałów.
Wiatr głaskał mu siwe włosy — nie rzekli ani słowa —
W oczy mu tylko patrzyli, w oczach ich była wymowa.
Wyprosże Polskę u Boga — za cenę naszej szarży.
— To czytał we wszystkich oczach, chociaż się nikt nie skarżył —
I niechże sam Bóg policzy, jeśli nie zechce Ci wierzyć,
Jesteśmy tutaj wszyscy, my — w wojnie polegli żołnierze.
A ilu ludzi niewinnych, spokojnych ludzi zginęło?
I czyja to jest wina? I czyje to jest dzieło?
Twój krzyż i nasze krzyże zawieś u stopni tronu.
Niech Bóg za takie wota weźmie nas w swoją obronę.
Krwiąśmy serdeczną kupili i męką — naszą Ojczyznę.
Jeżeli jest Bóg na niebie, niech nam Ją raczy przyznać.

Nad morzem żelaznych hełmów, nad jasnym bagnetów płotem
Poczęły płynąć sztandary wśród bębnów i werbli łoskotu,
Nieśli je chorążowie na połamanych drzewcach,
Blask od niebieskiej bramy strzępy sztandarów oświecał.
W długim rycerskim pochodzie poszli z Dostojnym na przedzie
Szeroką jasną szosą, co prosto do nieba wiedzie,
Aż roztopili się w blasku, w ogień zmieniła się droga.
Mistrz poszedł na posłuchanie do Mistrza Mistrzów — Boga.

Gen. B. PRUGAR-KETLING

Aby dochować wierności...

(Fragmenty z książki wydanej w r. 1941 pt. „Aby dochować wierności... Wspomnienia z działań 11. Karpackiej Dywizji Piechoty — Wrzesień 1939 r.")

...Odprawa trwała dość długo i odbywała się przy stałym akompaniamencie padających bomb i grzechotu ciężkich karabinów maszynowych. Gen. Sosnkowski wolno i spokojnie omawiał położenie, które pogorszyło się o tyle, iż wszystkie przejścia na Wereszczycy, znane nam dobrze z dawnych wojen, jako bardzo trudne do zdobycia, obsadzone zostały przez Niemców. Obronę tych przejść zorganizował nieprzyjaciel po wschodniej stronie rzeki, wysuwając na zachodni brzeg silne przedmościa wsparte artylerią. Poza tym zarówno na północy jak i na południu od Sądowej Wiszni kontakt z wrogiem stawał się coraz ściślejszy i coraz bardziej bezpośredni.

O przejściu Wereszczycy bez starannie przygotowanego i dobrze zmontowanego natarcia mowy być nie może. Czy na przygotowanie i na przeprowadzenie takiego natarcia starczy czasu, sił i środków?

Zdrowy rozsądek mówi, że raczej nie. Czy nie lepiej więc będzie skręcić ku północy na Jaworów i, przebiwszy się przez przypuszczalnie słabe jeszcze siły niemieckie, połączyć się z armią gen. Szyllinga? Teren jednak jest bardzo niedogodny. Rzeka Szkło, dość głęboka i bagnista, o grząskich brzegach nie łatwa będzie do sforsowania, a nawet do zwyczajnego przejścia z artylerią w nocy. Duże stawy, znajdujące się w pobliżu tego miasteczka, ułatwią nieprzyjacielowi obronę. Trzeba będzie działać na wąskich odcinkach i bić się o groble, co kosztować może dużo krwi, bez pewności powodzenia i bez wiary w możliwość spotkania się z Szyllingiem, z którym w dalszym ciągu żadnej łączności nie ma.

Czy nie trafniejszą i nie szczęśliwszą byłaby myśl zaniechania marszu na Lwów, a zwrócenia się z miejsca w kierunku płd.-wschodnim na Rudki-Komarno a potem za Dniestr? Tam można będzie znaleźć jeszcze wolną przestrzeń. Tam można będzie ściągnąć inne rozproszone polskie oddziały i w oparciu o góry a głębiej — o neutralne Węgry i Rumunię, prowadzić wojnę dalej. Olbrzymie lasy karpackie, wąwozy, jary, strome i mało dostępne grzbiety górskie zezwolą na dłuższy oddech i na skuteczniejszą walkę. Tam wojska zmotoryzowane, czołgi i lotnictwo nie będą miały pola do działania. Tam nareszcie będziemy się mogli bić w warunkach równych. Dzielność za dzielność, krew za krew, śmierć za śmierć. Przygniatająca dotychczas przewaga liczebna, a w pierwszym rzędzie techniczna, nie będzie mogła decydować o powodzeniu. Tam zwyciężać będzie przewaga moralna — a więc siła, na którą nas jeszcze stać.

Są jednak i w tej koncepcji wielkie minusy. Przedostanie się za Dniestr, wobec zajęcia Sambora przez większe siły niemieckie, nie jest przedsięwzięciem prostym i łatwym. Możnaby jednak pójść na takie ryzyko i otworzyć sobie drogę ku Karpatom, ale jak prowadzić dłuższe walki w górach, gdy zapasy amunicji są na wyczerpaniu? Sam bagnet nie wystarczy.

Tym ważnym zagadnieniom poświęcił generał dużo czasu i dużo skupionej uwagi. Po wypowiedzeniu swych myśli, pytał kolejno wszystkich wyższych dowódców o zdanie, badał opinię, rozważał wysunięte przez nich zastrzeżenia. I wreszcie, gdy — jak zawsze w takich wypadkach — nie było zgody i jednomyślności, zdecydowanie oświadczył:

— Ja sądzę, że trzeba dochować wierności najwierniejszemu miastu. — Musimy iść na Lwów.

Generał popatrzył nam w oczy, jakby się chciał upewnić, czy jesteśmy zgodni z jego decyzją, a potem dodał:

— Idziemy na Lwów drogą okrężną przez lasy Janowskie.

— — — — — — — — — — — — — — — — — — — —

...Natarcie ruszyło...

Z początku posuwało się ono planowo bez większych przeszkód. Wszystkie oddziały oderwały się od podstaw wyjściowych w ciszy. Dopiero na bliskim bardzo przedpolu doszło do krótkotrwałych i gwałtownych walk.

Rozpoczęła je 7 kompania batalionu ppłk. Głowackiego pod dowództwem jednego z najdzielniejszych oficerów dywizji, kpt. Jossego. Kompania ta poderwała się do szturmu z odległości dość dużej i wpadła pod straszliwy ogień zaporowy niemieckich ciężkich karabinów maszynowych, który ją zdziesiątkował i przygwoździł do ziemi. Daremny był trud kpt. Jossego, zdającego sobie dokładnie sprawę z niebezpieczeństwa, by poderwać ponownie swych żołnierzy. Pobiegła za nim garstka najbliższych tylko. Ranny parokrotnie, nieugięty kapitan zawraca po resztę, porywa ją gorącym apelem i w blasku płonących rakiet uderza na najbliższe gniazdo wroga. Nie zdążył jeszcze wtargnąć w okopy nieprzyjaciela, gdy ugodzony śmiertelnie pada. Była to szósta rana, jaką odniósł w tej krótkiej a tak ciężkiej dla nas wojnie ten niezłomny dowódca, wzór męstwa żołnierskiego, najdzielniejszy spośród dzielnych oficerów. Szósta i ostatnia rana — bo kula ugodziwszy w serce przerwała natychmiast życie.

Żołnierze jego poszli odruchowo dalej — zdobyli pierwsze okopy...

...Baon Lityńskiego uderzył bardziej zwartym szykiem na przednie grupy oporu nieprzyjaciela i zniósł je walką wręcz. Ominąwszy następnie mocno obsadzony lasek przy szosie, natarł na tylne gniazda pod Sanatorium i zdobył je. Zawiadomiwszy o tym sukcesie, ppłk. Hodałę, uderzył dalej na Zamarstynów i po godzinie wszedł w przedmieścia Lwowa, skąd przysłał meldunek, że droga za nim jest wolna.

Wg relacji uczestników i naocznych świadków, których później spotkałem we Francji, batalion ten wmaszerował do Lwowa w składzie 106 bagnetów z ciężkimi karabinami maszynowymi.

Wiadomości więc, jakie od mjr. Lityńskiego nadeszły, były pocieszające i dodały nam wszystkim otuchy. Byłem pewny, że nieprzyjaciel, zachwiany dość mocno poniesioną klęską na jednym kierunku, będzie bardziej miękki na drugim.

...Do gen. Sosnkowskiego wysłałem meldunek z zawiadomieniem, że droga wnet będzie otwartą i że wskutek tego trzeba się śpieszyć, by ją przed świtem przebyć. Gdy nadejdzie pełny dzień, korzystanie z tej drogi będzie niemożliwe.

Była godz. 02.00, gdy ze swym sztabem wyruszyłem do przodu...

...Ruszyliśmy całą kolumną. Jak słusznie przewidywałem, niebezpieczny lasek na lewo od szosy, tak mocno z wieczora obsadzony, teraz był wolny. Załoga tego punktu oporu wycofała się w tył na skutek wymanewrowania jej przez batalion mjr. Lityńskiego...

...Ledwie straż przednia zbliżyła się ku przednim domkom przysiółka Hołosko, została ostrzelana z okien domów oraz spoza zalesionego wzgórza kilkoma seriami ciężkich karabinów maszynowych. Równocześnie nadjechały czołgi i otwarły ogień na czoło kolumny, zmuszając ją do zatrzymania. Wyciągnięto zaraz armatki ppanc. z oddziałów 24 DP, które właśnie nadeszły, ale wozy pancerne --- nim je zwalczać zaczęto --- zdążyły się ukryć. Jeden z za domu z prawej strony, a kilka spoza wzgórza z lewej strony szosy prażyły flankowym ogniem każdą wysuwającą się naprzód grupę, zmuszając do zatrzymania się i krycia. Stanowiska tych pancernych gniazd były tak umiejętnie wybrane i z czoła osłonięte, że dostrzeżone mogły być tylko z najbliższej odległości. Aby je zniszczyć, trzeba było wysunąć działka przed linię własnej szpicy.

Nie było czasu na bliższe zastanawianie się.

Por. Witek ze sztabu dywizji z mojego polecenia wyciągnął jedno działko ppanc. z niezbędną obsługą daleko do przodu i kilkoma celnymi strzałami zniszczył czołg stojący pod domem. Innych nie mógł już zwalczyć, gdyż został ranny, a ponadto czołgi znikły za chwilę głębiej za wzgórzem i stamtąd prowadziły swój ogień na dalsze nasze rzuty rozczłonkowujące się w tym momencie.

Nie mogło być mowy o dalszym marszu na Hołosko bez usunięcia tej nowo powstałej zapory. Za wszelką cenę trzeba było jak najprędzej te bestie pancerne unieszkodliwić, inaczej stracilibyśmy ostatnią sposobność prześlizgnięcia się przez otwór wybity przez Lityńskiego --- zanim nadejdą odwody nieprzyjaciela dla zamknięcia tej wyrwy.

Zniszczenia tych czołgów podjął się na ochotnika młody oficer 11 pułku artylerii lekkiej, ppor. Schodowski Józef, dowódca 4 baterii po poległym kpt. Pietrzaku.

Pełen odwagi i żołnierskiego spokoju, wybiera sobie działon z najdzielniejszą obsługą, galopem podjeżdża na stanowisko przed linię piechoty, odprzodkowuje szybko działo i sam kieruje ogniem. Ma przy tym pecha. Załadowany jako pierwszy pancerny granat --- dając dwukrotne zacięcia — nieodpala. Muszą zmienić pocisk i na nowo celować. Nareszcie upragniony wystrzał, potem poprawka celowniczego i znowu wystrzał. Dwa czołgi niemieckie stoją w płomieniach, a trzeci wieje. Już biorą go na cel, już mają odpalić, gdy pada nieprzyjacielski granat, zabija celowniczego i rani dwóch kanonierów z obsługi. Ppor. Schodowski, nie tracąc ani na sekundę zimnej krwi, przyskakuje do działa, sam nastawia celownik i sam odpala. Znowu jeden czołg rozbity. Następny, to ostatni podobno — ale nie zdążył już --- seria karabinu maszynowego przeszywa mu kilkakrotnie pierś. Młody dowódca ginie po bohatersku wraz z obsługą wierną mu do ostatka jak na prawych artylerzystów przystało. Ciało bezwładnie opada wprost na honorową lawetę.

Widzi to leżąca niedaleko piechota — nie daruje... Na komendę któregoś z oficerów podrywa się, szturmuje i zaciekle broniony punkt oporu zdobywa. »No, teraz pójdzie!« — rozchodzi się radosny pomruk ulgi po kolumienkach.

...Przekonanie, że ostatnia zapora, jaka dzieli nas od Lwowa, została złamana, wywołuje powszechne zadowolenie.

Nie trwa to długo. Nastrój ulgi i odprężenia pryska, ustępując miejsca nowej, mocniejszej emocji, nowemu rozczarowaniu — ba, nawet grozie. »Czołgi z prawa!« — rozlega się nagle okrzyk, podawany automatycznie z ust do ust, od jednej grupy do drugiej.

...Z siodła pomiędzy wzgórzem »Z« a lasem brzuchowickim, od Rzęsny Polskiej, wychodzą potwory pancerne i — defilując przed frontem resztek batalionu ppłk. Głowackiego, ukrytego w lesie — nacierają na flankę zatrzymanej kolumny. Doszły już na odległość 500 m, a niektóre podsunęły się nawet bliżej. Słychać wyraźnie szum kilkudziesięciu motorów, gwizd przelatujących obok nas pocisków oraz nieustanny warkot niemieckich szybkostrzelnych karabinów maszynowych. Już są wśród nas ranni i zabici. Ofiarą pada mjr dypl. Falkowski ze sztabu armii i kilku innych oficerów.

— Broń ppanc. na stanowiska! — rozlega się po poszczególnych członach komenda i elektryzuje wszystkich. Gen. Sosnkowski staje przy dwóch armatkach i osobiście kieruje ich ogniem. Ja i płk Morawski czynimy to samo przy specjalnych karabinach ppanc, wskazując dokładnie cel i odległość. Strzelanina przybiera na tempie po obu stronach. Co chwila dochodzą nas głośne, zadowolone okrzyki: »trafiony! — trafiony! — zapalił się! — tamten także dostał!« Z kilku wieżyczek unieruchomionych już czołgów podnoszą się klapy, wyskakuje obsługa i biegiem ucieka do lasków na wzgórzu »Z«. Ścigają ich ogniem nasze ręczne karabiny maszynowe. Niektóre wozy doszły na odległość 50 m, ale dalej posunąć się nie mogą — dzięki spokojowi i zimnej przytomności umysłu obsług naszych działek ppancernych zostały z bliska zniszczone doszczętnie. Radosny prąd ożywienia przebiega oniemiałe przed chwilą szeregi. Walka trwa jeszcze kilkanaście minut i kończy się niepowodzeniem a wślad za tym i odwrotem Niemców.

W czasie gdy cała uwaga oddziałów zwrócona jest na czołgi, przybyłe z prawej strony — od czoła ukazują się inne, a za nimi w luźnych grupach i rojach podsuwa się w szybkich skokach nieprzyjacielska piechota z dużą ilością karabinów maszynowych. Wyskakują przed nie dwie grupki naszych obsług z dwoma armatkami pod dowództwem dzielnych podoficerów i jednego oficera. Otwierają natychmiast skuteczny ogień i natarcie nieprzyjaciela hamują. Z drugiej strony odzywają się zaraz karabiny maszynowe i ogień ich przybiera coraz bardziej na sile. Ginie por. Gawlik, ginie kpr. Budzianowski, kilku jest rannych, ale parę czołgów zostaje martwych na placu. Dwa z nich płoną na niedalekim przedpolu, a jeden zaczyna dymić tuż obok szpicy, zniszczony przez odważnego podoficera na odległość — dosłownie — kilku zaledwie kroków. Razem rozbitych zostało w tym czasie z frontu i z boku kilkanaście czołgów. Pozostałe wycofały się poza swe podstawy wypadowe, skąd ogniem dalekim wspierają piechotę. Piechota ta w natarciu towarzyszyła im, a po odwrocie wozów pancernych przejęła obronę zagrożonego odcinka na placu boju w opuszczonych dzisiejszej nocy okopach. W ten sposób brama lwowska, rozwarta nocnym uderzeniem batalionu mjr. Lityńskiego, została ponownie przez Niemców zatrzaśnięta.

Myśl o szybkim przesmyknięciu się wzdłuż szosy janowskiej do Lwowa musiała być bezpowrotnie odrzucona.

Wojna nowoczesna jest wojną przemocy — wymaga odpowiedniej siły i brutalności. Jeżeli nie dysponuje się dostatecznie silnymi środkami, trzeba być zgóry przygotowanym na liczne niespodzianki, a wślad za tym i na częste niepowodzenia. Niepowodzenia chwilowe nie decydują jeszcze o przegranej, o ile tkwi jeszcze w żołnierzu chęć dalszej walki i wola ostatecznego zwycięstwa. Tę twardą wolę czuliśmy w duszach naszych. Należało tylko zastanowić się szybko nad ubezpieczeniem i utrzymaniem zajętego terenu, a potem szukać jakiegoś innego wyjścia z tej, niewątpliwie, najtrudniejszej dotychczas dla nas sytuacji. Nie było to łatwe zadanie.

Od Rzęsny napierały oddziały niemieckie, zasilane coraz wydatniej odwodami napływającymi z lasów Janowskich. Mocno przetrzebione kompanie batalionu ppłk. Głowackiego nie były w stanie stawić im dłuższego oporu. Trzeba je było koniecznie wzmocnić. Za zgodą gen. Sosnkowskiego wysłałem tam jeden, a później drugi batalion 24 DP. Właściwie trudno było oddziały te obdarzać szumną nazwą »batalionów« skoro łącznie nie miały więcej jak 220 ludzi i tylko kilka ciężkich karabinów maszynowych.

Od Brzuchowic nadeszły trzy bataliony 38 DP rez., liczebnie również słabe, może po 200 chłopa każdy, i również fizycznie mocno wypompowane. Cały ciężar osłony naszych tyłów przed nadciągającymi na Brzuchowice Niemcami spadł na barki jednej doraźnie skleconej kompanii, pozbawionej w dodatku wsparcia artylerii. Na ubezpieczenie się od wschodu — przeciw nadchodzącym wojskom sowieckim — nie starczyło już sił. Od południa — nowoutworzona przez Niemców zapora, a poza nią dosłownie o 2 km tylko — stał milczący Lwów. Na miłość Boga, dlaczego wiedząc o naszym marszu, a raczej o naszym borykaniu się ostatkiem sił, nie wyjdą naprzeciw z pomocą? Mjr Lityński musiał w tej sprawie interweniować, gdyż za dobrze znał nasze wprost beznadziejne położenie.

— Musimy dokonać jeszcze jednej próby przebicia się śladem batalionu 49 pp. Niech Pan montuje natarcie, angażując wszystko, co nam pozostało i wykorzystując do maksymum siłę swej artylerii — zadecydował krótko gen. Sosnkowski, gdy mu złożyłem raport z ostatnich zarządzeń.

W wykonaniu tego polecenia nakazałem natarcie jednym batalionem na Hołosko wzdłuż drogi gminnej Hamulec — Hołosko, a drugim przez laski położone po lewej stronie szosy, na Sanatorium. Jeden batalion, jako odwód miał się posuwać za lewym skrzydłem natarcia. Cała artyleria w rękach ppłk. Obtułowicza, po oddaniu 15-minutowego ognia przygotowawczego na całym odcinku, ma wspierać największą swą wydajnością przede wszystkim batalion lewoskrzydłowy. Dla batalionu prawoskrzydłowego musi wystarczyć artyleria piechoty.

Początek natarcia oznaczony będzie później, po zameldowaniu gotowości bojowej przez wszystkie jednostki artylerii. Czas nagli. Zapowiedziałem, że od szybkości przygotowań i siły uderzenia zależą nasze losy: Lwów i wolność albo niewola. Innego wyboru nie ma.

...Gen. Sosnkowski, przechadzając się wśród grup żołnierzy, zajmujących podstawę wyjściową, znalazł się kilkakrotnie w bardzo intensywnym ogniu. Ta pogarda dla niebezpieczeństwa i stoicki spokój wodza w najkrytyczniejszych chwilach wlewały otuchę w serca żołnierzy. Rozumiałem dobrze tę nigdy niezawodną metodę bezpośredniego oddziaływania na psychikę podwładnych, ale z drugiej strony z doświadczeń wojennych i osobis-

tych przeżyć bojowych wiedziałem, że losu za długo prowokować nie wolno. Czułem się w obowiązku dwukrotnie podejść i zameldować, że nie godzi się dowódcy frontu dawać złego przykładu »niebojowego« — wg terminologii pokojowej — zachowania się w ogniu nieprzyjaciela. Gdy się nie idzie naprzód w natarciu lub gdy się nie strzela — trzeba się kryć. Z uśmiechem przyznał mi rację i zawracał w głąb lasu, ale to mu nie przeszkadzało powtarzać tę scenę kilkakrotnie.

Około godz. 14.00 wszystkie oddziały piechoty zajęły już podstawę wyjściową, a artyleria nie była gotowa. Miała ona niezwykle ciężki orzech do zgryzienia. Dotychczasowe walki i nieproporcjonalne straty w ludziach zdezorganizowały ją mocno. Dział było dość, obsług wyszkolonych już znacznie mniej, a dowódców — oficerów i podoficerów — prawie zupełny brak. Doszło do tego, że bateria kpt. Korabiowskiego posiadała 9 armat z jednym tylko oficerem i kilkoma podoficerami. Sprzęt łączności, a w pierwszym rzędzie kabel nie wystarczał na najprostrze połączenia i na najkrótsze nawet odległości. Punktów obserwacyjnych, mających jaki taki wgląd w nieprzyjacielską pozycję — nie było żadnych. Pozycje te mieściły się przeważnie na przeciwstokach. Nie posiadając zupełnie lotnictwa, trzeba było się uciekać do obserwacji bocznej. Punkty obserwacyjne trzeba było wysuwać w bok lub w skos, w miejsca gdzie nie było już żadnych naszych oddziałów, a więc żadnej osłony. Zdarzyło się dwukrotnie, że obserwatorów artyleryjskich Niemcy spędzili specjalnymi wypadami. Można się było uciec do sposobu strzelania z mapy, ale map tych — jak wspominałem — nie było. Zrobione na kolanie szkice z mapy 1 : 300.000 pozwalały zaledwie na orientację ogólną, a sytuacja bojowa i terenowa wymagała strzelania niezwykle precyzyjnego. Przede wszystkim piechota nasza leżała bardzo blisko pozycji niemieckiej, a o 1,5 km za tą pozycją był już Lwów. Gdzieś w tej przestrzeni musiała się znajdować jeszcze linia obrońców Lwowa. Gdzie ona była — nie wiedział nikt. Nikt też dziwić się nie może, że na gotowość ogniową artylerii musieliśmy czekać pięć pełnych godzin.

... Licząc się z tymi trudnościami i z koniecznością precyzyjnego strzelania, udałem się ku przodowi do najbardziej wysuniętych oddziałów, by zbadać pas bezpieczeństwa. Okazało się, że nie tylko kilka drużyn leżało stanowczo za blisko od pierwszego celu, na który za chwilę miał być położony silny ogień artylerii, ale co gorsza — na międzypolu leżało dużo rannych, których trzeba było wynieść.

Wezwaliśmy wszystkich sanitariuszy, jacy byli na podorędziu i przypilnowaliśmy osobiście ewakuacji.

Wśród jęków i nawoływań o pomoc w języku polskim słyszało się również wołania o ratunek w języku niemieckim. Szczególnie zwracał uwagę rozpaczliwy głos »Hilfe!«, wychodzący z okolic rozbitego czołga. Wskazałem ręką ten kierunek jednemu z leżących obok żołnierzy. Skinął głową na znak zrozumienia i podczołgał się pod spalony wóz pancerny. Nim dostał się na miejsce, został kilkakrotnie ostrzelany przez znajdujących się w pobliskim domu Niemców. Nie zwracał na to wcale uwagi, wsadził rannego na plecy i z niemałą trudnością wyniósł w bezpieczne miejsce, skąd go dalej zabrali sanitariusze. Zapytałem go żartem, czy mu nie przykro było ratować Niemca. »I... nie — dyć to też człowiek...« brzmiała prostoduszna odpowiedź. Pochwaliłem go, zapisując sobie równocześnie nazwisko do postawienia wniosku na odznaczenie. Niestety, nie mogłem już zasługi tej wynagrodzić. Dziś nazwiska nie pamiętam, a notatka zawieruszyła się w późniejszych tarapatach. Kto wie, czy ten młody żołnierz jeszcze żyje...